

Muzyczne spotkania ze Stefanem Kisielewskim



*Marek Drewnowski gra utwory Chopina podczas Open'er Festival, Gdynia 2010 r.,
fot. arch. artysty*

Marek Drewnowski (*pianista, profesor*)

W latach 80. przebywałem w Paryżu jako stypendysta „Kultury Paryskiej”. Odwiedzałem księży Pallotynów dosyć często i tak spotkałem Stefana Kisielewskiego. Szefem dyrektorem Pallotynów był wówczas ksiądz Józef Sadzik działający na emigracji m.in. w wydawnictwie *Editions du Dialogue*. Nieprzeciętna postać i osobowość. Ksiądz Sadzik postanowił zorganizować koncert muzyki współczesnej w salce pobliskiego kościołka. W programie miałem zagrać utwory Kisielewskiego i Romana Palestra. Kisiel na szczęście miał nuty, więc zacząłem uczyć się jego nowych utworów. Była to „Suita na fortepian”, „Kołysanka” i coś jeszcze, czego nie

pamiętam. Kompozycja Palestra, który mieszkał już na stałe w Paryżu - „Expressioni. Expressioni” to trudny, bardzo skomplikowany i wymagający utwór. Praca z Palestrem nad tym utworem była ciężka, był on bowiem niezwykle wymagający, szukał barw, detali, dynamiki i zmuszał mnie do dużego wysiłku. W końcu zadowolony po długiej pracy puszczał mnie do domu. Po spotkaniu wychodziłem z jego mieszkania spocony i zmęczony.

Umówiłem się również na próbę z Kisielewskim. Ta wyglądała zupełnie inaczej. Mieszkałem wtedy w Cite Universite i miałem tam wynajęty fortepian. Nieoczekiwanie w metrze zapytał mnie, czy mam wino w mieszkaniu. Był trochę spięty i zmęczony. Napiliśmy się po kieliszku, później mu grałem. Nie męczył mnie, wydawał się zadowolony.

Koncert odniósł duży sukces. Palester zarzucał Kisielowi, że jest za mało nowoczesny i dlatego podoba się publiczności. Zazdrościł Kisielowi sukcesu, mimo, że „Expressioni...” też się podobały. Utwory Kisielewskiego są klasyczne, ale mieszczące się w tradycji muzycznej formy. Sam Kisiel był targany wątpliwościami co do swojego wyboru stylu, ale jak sam pisał:

Pisanie muzyki wybitnie mnie nudzi - to zresztą awangarda mnie „zwariowała” i nie mam wiary we własne poczynania. Oddziały na mnie à rebours - też bywa. Krótko mówiąc, nowy świat już nie dla mnie. Fatalny sobie wybrałem zawód [publicystyka polityczna - U. C. L.] i przez tyle lat udawałem, że mogę go uprawiać. I wreszcie bomba pękła. A nie lepiej było trzymać się muzyki, kochanej, asemantycznej muzyki? Mądry Polak po szkodzie W ogólnym kłamstwie, jakie tu panuje (czy może cały kraj kłamać?! — ba, musi!) muzyka jest jednak oazą czegoś jednoznacznego. Muzyka nie kłamie - bo nie może. Choć muzycy by chcieli. Nie wierzę w dzieło, które nie wymaga wysiłku technicznego, przewyciężania oporu materii, a jest tylko czystą koncepcją. To łatwizna, unik, nieporozumienie! Coraz bardziej przy tym jestem przeciw filozofującej awangardzie [...]. Trzeba pisać po swojemu i kwita,

To co pisał Kisiel o nudzie trzeba włączyć w nawias, gdyż do muzyki podchodził z wielką powagą, co widać też w jego innych wypowiedziach. Bogusław Schaeffer krótko i celnie określił kompozycje Stefana Kisielewskiego: „kapitałny dowcip,

humor muzyczny i rossiniowska niemal lekkość”.

Mozolnie „składam nutki”, pionowo i poziomo, przed czym, jako przed przestarzałością, ostrzegął Schaeffer. Bóg z nim, ale ja inaczej nie potrafię. Pocieszam się, że jednak w jakiś sposób „wyrażam siebie”, bo słuchacze moją muzykę wyróżniają, nawet bez trudu. Stulecia zatrą perspektywę dziesięcioleci i może ocali się to, co charakterystyczne, a może wszystko przypadnie. (S.K.)

Kiedy poznałem Kisielewskiego doszedłem do wniosku, że Kisielewski był niezwykle wrażliwym człowiekiem. Teraz kiedy o nim myślę, wyłania się portret człowieka wybitnego, trzymanego w gorsecie sytuacji politycznej i miotającego się między polityką, a muzyką. I w jednej i w drugiej działalności napotykał opór. Przypisuję sobie zasługi, co do muzyki poważnej, awangardowej:

Również ja dostarczyłem partii matce naszej odpowiedniej formuły: że muzyka nie wyraża treści merytorycznych, ideologicznych czy jakich tam, że to jest „czysta forma” i nie ma się jej co bać. Oni kupili to ode mnie i stąd są np. festiwale Warszawska Jesień i inne pendereckiady. A kompozytorzy zamiast mi być wdzięczni, to mnie nie znoszą i szyją mi buty przy każdej okazji (ci starsi, Baird, Serocki, Turski etc.) Taka to psia wdzięczność na świecie. Represją komunistycznych władz było skazanie artysty na publiczny niebyt. (S.K.)

Mam ciągle kompleks niepotrzebności, nawet w dziedzinie kompozycji: po co pisać, kiedy nie grają? Trzeba z tym walczyć, bo się załamie, a komuniści zatriumfują. Ale jak walczyć? Trochę trzeba się bawić, ale czym? „W co się bawić?”, jak pyta w piosence Wojciech Młynarski. W wolnego człowieka! Okropnie się czuję „bez miejsca na świecie”: co pisać, co robić? Nawet z muzyką nic, nie ciekawi mnie, PWM milczy, mój udział w Związku Kompozytorów zdaje się też pod znakiem zapytania. Najgorsze jednak, że nie mam na nic ochoty, czując się przegoniony przez życie, przez wypadki, może przez wiek?! Starość to rzecz banalna - cierpieć banalnie, fu, cóż to za obrzydła perspektywa! (S.K.)

Po latach Kisielewski zaproponował mi prawykonanie „Koncertu fortepianowego” (1991), który pisał od 11 lat. Okazało się, że był to ostatni utwór kompozytora.

Koncert o wyrazistej formie i tradycyjnym języku muzycznym, oparty na koncepcji dialogów instrumentalnych z towarzyszeniem fortepianu. Nie przypominam sobie, abym pracował nad tym koncertem z kompozytorem, raczej przysyłał mi fragmenty ukończonych stron. Spotykałem się z nim tylko na płaszczyźnie towarzyskiej.



Stefan Kisielewski z żoną Lidią, fot. Krystyna Kisielewska-Sławińska

Kiedyś spotkaliśmy się w moim domu w Warszawie z Piotrem Wierzbickim, Tadeuszem Kaczyńskim i Olgierdem Gedyminem. Po kilku kieliszkach... wpadliśmy na pomysł urządzenia konkursu fortepianowego, aby sprawdzić, kto lepiej gra. Konkurs odbył się już po następnych kieliszkach. Pamiętam, że grałem Poloneza As dur w tonacji fis moll Chopina, a później wystąpił Wierzbicki, Kaczyński i Olgierd, ale do dzisiaj nie pamiętam, kto wygrał... (chyba Olgierd).

W każdym razie „Koncert fortepianowy” Stefana Kisielewskiego według mnie jest koncertem wyjątkowym, wybitnym i bardzo trudnym. Wykonałem go na Warszawskiej Jesieni w Filharmonii Narodowej z dyrygentem Jerzym Swobodą wraz z zaproszoną na Festiwal Śląską Filharmonią z Katowic. Koncert miał ogromne

powodzenie i sukces. Po raz pierwszy na Warszawskiej Jesieni doszło do bisu, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło.

Nazajutrz z dyrygentem i z butelkami szampana poszliśmy odwiedzić Kisiela. Leżał w szpitalnej salce. Wyglądał dobrze, ale odmówił szampana, patrząc w ścianę. To już nie dla mnie, powiedział. Okazało się, że oglądał w telewizji transmisję, narzekał na niesłyszalne w nagraniu instrumenty dęte. Co prawda telewizorek był pośledni, mały, turystyczny, niestety bez profesjonalnego odsłuchu. Po dłuższej dyskusji nad nagraniem wyszliśmy ze szpitala nie mając pojęcia nad złym stanem zdrowia Kisiela. Dwa dni później Kisiel odszedł.

Po Kisielu została mi wspaniała pamiątka. Otrzymałem nagrodę „Orfeusza” za najlepsze wykonanie na Warszawskiej Jesieni. Z tej statuetki do dzisiaj jestem dumny.

Jak już wspomniałem Kisiel miotał się między muzyką a polityką, wszędzie natrafiając na przeszkody. A to go pobili, a to go nie chcieli wydawać drukiem, albo cenzurowali i wykluczali z działalności publicystycznej, albo nie wydawali kompozycji, natrafiając również na opór kolegów ze względu na klasyczny styl jego utworów.



Marek Drewnowski, fot. arch. artysty

Niestety Polacy mają kompleks narodowościowy, który do dzisiaj jest aktualny. Ja to nazywam genem zrady. Polacy nie popierają Polaków, wolą obcych. Wszystko, co polskie wydaje im się gorsze. Polacy to tzw. wycofani pesymiści („Polskość to nienormalność”, jak powiedział jeden z czołowych polskich polityków}. Gdy spojrzymy na polską historię, to już od XVII wieku artyści zagraniczni SĄ lepsi, kraje sąsiedzkie SĄ lepsze, ich polityka i kultura jest mądrzejsza, towary zagraniczne SĄ pewniejsze, itd. Dlatego Kisielewskiego się nie docenia. Politycy przywłaszczyli sobie Kisielela, ignorując zupełnie jego twórczość muzyczną i zasługi. A jego wnioski i opinie z tych czasów w jakich żył do dzisiaj są aktualne.

Otóż niżej podpisany piastując od lat zaszczytny tytuł „błazna rewolucji” (nawet tak poważne instytucje jak rewolucja muszą posiadać swych błaznów), ma w

istocie duszę smutną i napełnioną pesymizmem. Chętnie zabawiłbym się w Kasandrę, co w Polsce, jak twierdził Ksawery Pruszyński, zawsze się udaje. Dziwne to zjawisko, że właśnie epoka odnowy, a nie epoka rządów głośnej jednostki z wąsami, napełniła mnie „integralnym pesymizmem”, ale może to tak zawsze jest na świecie: lepsze widać pewne zło niż niepewne dobro. „Najgorsza ta niepewność”, jak mówi znana anegdota o zazdrosnym mężu. (S.K.)

P.S. Po koncercie „Koncertu fortepianowego” Kisiela w garderobie zjawił się nasz pomnikowy kompozytor. Usłyszałem, jak szeptał do bardzo ważnej krytyczki. „To jest muzyka Bolka i Lolka”. Krytyczka ze zrozumieniem pokiwała głową i puściła te ploteczkę dalej...

W maju maestro Marek Drewnowski został zaproszony przez Fundację Orquesta Filarmónica de Bogotá w ramach programu „Circuito Clásico 2024” do Kolumbii. Koncert w Bogocie będzie miał miejsce 4 maja 2024 r. w sali koncertowej Gran Auditorio Compensar o godzinie 19.00. To szczególne wydarzenie odbędzie się z okazji obchodów rocznicy Konstytucji 3 Maja, przy współudziale Ambasady Polskiej w Bogocie. Marek Drewnowski zagra też w Medellin. Publiczność w Kolumbii będzie mogła usłyszeć m.in. utwory Chopina, Scarlattiego, Mozarta, Liszta.

*

Zobacz też:

Kasztan Kisiela

Londyńskie spotkania po dwóch stronach oceanu



Stefan Kisielewski, fot. culture.pl

Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Zaraz po wojnie nie łatwo było odwiedzać Anglię. Do pierwszych gości w Londynie należał **Leopold Tyrmand**. Pamiętam jak go przyjmowaliśmy, jako autora głośnego już "Złego", a on popisywał się kolorowymi skarpetkami i buńczucznym oświadczeniem, że ks. kardynał Wyszyński i on byli prawdziwymi przywódcami młodzieży polskiej.

Przyjechał też **Jerzy Zawieyski**, którego pamiętam za strofowanie nas, że krytykujemy społeczeństwo polskie, które przecież żyło w innych warunkach. Zdumiało mnie jego prawie konspiracyjne pytania, czy w Londynie może on po prostu wejść do sklepu i kupić ubranie bez talonu i jakiegoś zezwolenia.

W Londynie często spotykaliśmy się w restauracji i kawiarni Dakowskiego blisko

kolejki podziemnej South Kensington, bo była blisko polskich instytucji takich jak Ognisko Polskie, Instytut gen. W. Sikorskiego czy Brampton Oratory. Wspominam picie kawy po wykładach na Polskim Uniwersytecie Na Obczyźnie z **Józefem Bujnowskim, Wandą Chruściel, Krystyną Cywińską, Marią Nowakowską, Wojciechem Gniatczyńskim, Ferdynandem Goetlem, Zygmuntem Ławrynowiczem** czy **Napoleonem Sądkiem**, żeby wymienić kilka nazwisk. Goetel relacjonował rozmowę na granicy, kiedy wyjechał z Polski. Nie pamiętam, czy chodziło o wizę holenderską czy paszport. Dość, że celnik na granicy oddał mu paszport ze słowami: *no, to leć pan, latający Holendrze.*

Ze **Stefanem Kisielewskim** mówiłem o muzyce. Byłem ciekaw, kogo widział na polskim firmamencie jako najjaśniejszą gwiazdę wśród młodych kompozytorów. Wymienił **Henryka Mikołaja Góreckiego**. Wtedy było to dla mnie nowe nazwisko, ale niedługo później jego trzecia symfonia pieśni żałobnych podbiła świat. Kiedy na początku któregoś grudnia znajdowałem się w kalifornijskim Palm Springs, lokalne amerykańskie radio nadało Góreckiemu życzenia urodzinowe i emitowało jego sławną symfonię, w której Amerykanka Dawn Upshaw piękną gwarą śląską czarowała słuchaczy

Miło mi było, że współczesny Polak cieszył się takim mirem i natychmiast pchnąłem do niego list z dobrą wiadomością.

Potem odwiedzałem **Stefana Kisielewskiego** w Warszawie. Gościłem go też w ontaryjskim London po przeprowadzce za Atlantyk.

Pracując na uniwersytecie Western, zaprowadziłem Kisielewskiego na wydział muzykologii. Tam, nie znający angielskiego gość, w języku niemieckim przemówił do nauczycieli akademickich. Jeden z nich, rodem z Austrii, skwapliwie tłumaczył jego słowa kolegom. Niemniej wnet mina mu zrzęda, kiedy na zapytanie o socjalizm, Kisielewski bez ogródek nazwał go ustawiczną improwizacją.

Wolontariusz bardzo się napocił, by złagodzić ostre wypowiedzi gościa z Żelaznej Kurtyny, używał bardzo dowolnego tłumaczenia i uciekał się do nierzadziej eufemizmów, by przedstawiany obraz nie pogrążał oczekiwania naiwnych fanów

utopii.

W London Kisielewski w pułkowniku **Czesławie Czajkowskim** rozpoznał swojego dowódcę z września 1939 roku, którego wspomina w swojej powieści "Sprzysiężenie". Później z Warszawy pisaliśmy wspólnie do niego pocztówkę, na której Kisiel meldował się jako dawny podchorąży.

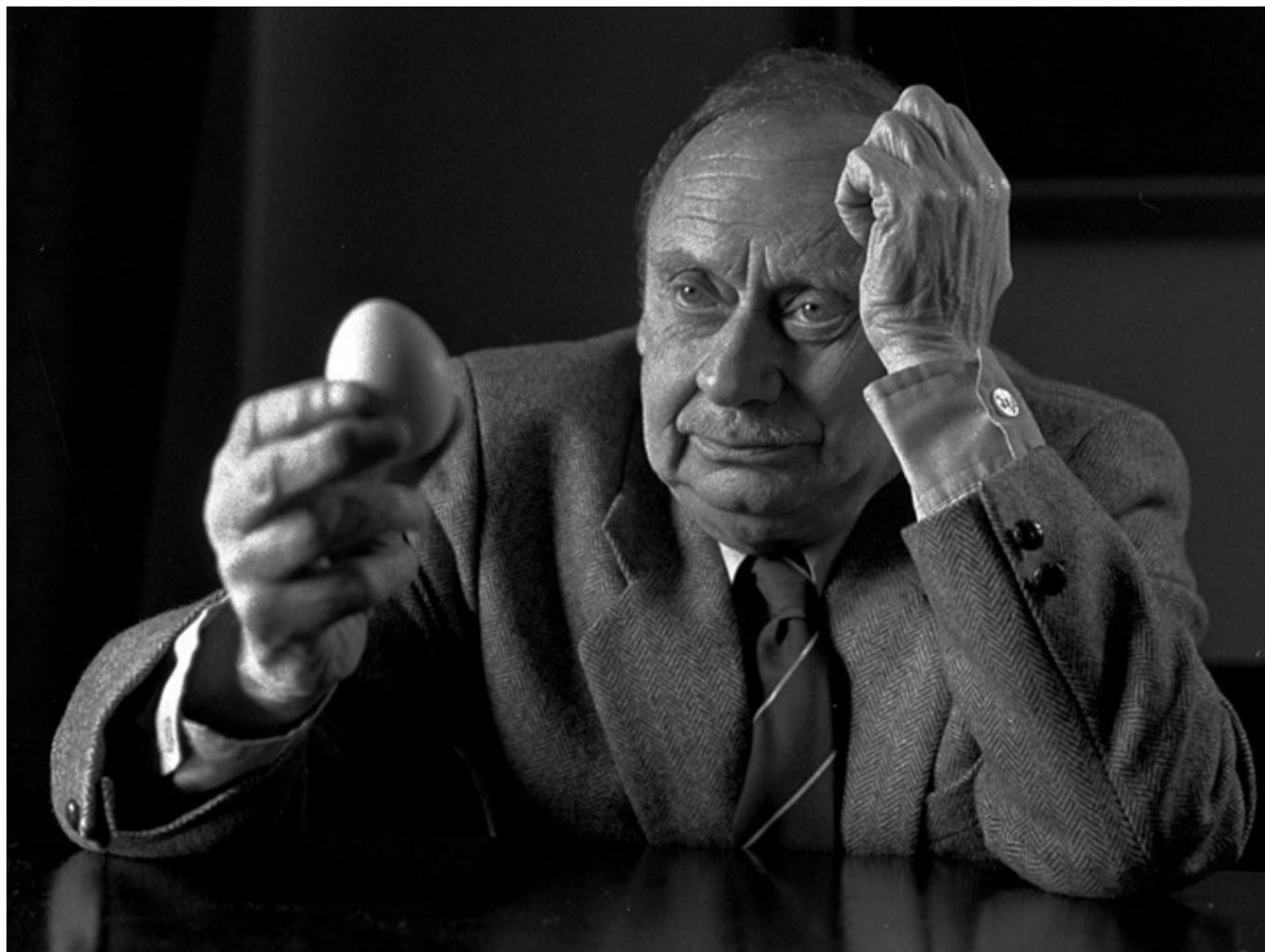
Stefan Kisielewski:

<https://www.cultureave.com/kasztan-kisiela/>

Henryk Mikołaj Górecki:

https://www.cultureave.com/otrzymany-czas-musisz-godnie-przezyc-henryk-mikolaj-gorecki-1933-2010_/

Kasztan Kisiela



Stefan Kisielewski, fot. alchetron.com

Florian Śmieja

Stefana Kisielewskiego spotkałem po raz pierwszy w Anglii; nie pamiętam już bliższych szczegółów. Widzę jak przez mgłę niekonwencjonalnie ubranego mężczyznę w wiatrówce koło kiosku na stacji kolejki podziemnej Gloucester Road z egzemplarzem tygodnika „Orzeł Biały” wystającym z kieszeni. To był umówiony znak rozpoznawczy. Jak w konspiracji. Nasz miesięcznik młodych „Merkuriusz Polski” wydrukował wtedy jego artykuł, a on sam wystąpił pod naszą egidą w Instytucie im. gen Władysława Sikorskiego w Londynie. Próbowaliśmy dostarczać mu nasze pismo, które z czasem zmieniało nazwę. Raz odpowiedział

„Kontynentów” czy jak się zwą nie dostaję...

a innym razem

...niestety „Kontynentów” nie otrzymuję mimo dwukrotnej interwencji w Urzędzie Kontroli Prasy.

Dlatego, gdy zjawił się w Kanadzie jakieś tuzin lat później, zaprosiłem go skwapliwie do nas. Były to czasy jednoznacznego pohukiwania nieprzejednanych.

Na jaki paszport przyjeżdża – pisali jedni – jakąż więc musi robić robotę?

Inni sarkali:

Niech już sobie działa tam, ale tu my takich nie potrzebujemy.

W London, Ontario, zaprowadziłem go m.in. na Wydział Muzykologii mojego uniwersytetu. W rezultacie w lokalnym dzienniku pojawił się o nim artykuł i piękne zdjęcia Kisielewskiego przy fortepianie. Na uniwersytecie do kolegów po fachu przemówił po niemiecku. Kiedy bez żenady oświadczył, że cały ten polski socjalizm to właściwie jedna ciągła improwizacja, tłumaczący profesor zląkł się i zamiast tłumaczyć dokładnie, zabrnął w jakieś eufemistyczne łamańce i uniki. W jednej z rozmów prywatnych nie omieszkalem spytać Kisielewskiego o scenę muzyczną w Polsce. Kogo uważał za najjaśniejszą młodą gwiazdę wśród polskich kompozytorów? Bez wahania odpowiedział: Henryka Mikołaja Góreckiego. Usłyszałem to nazwisko wtedy po raz pierwszy.

Ponieważ nasz Klub Dyskusyjny spotykał się w prywatnym domu i był przez tzw. zorganizowaną lokalną Polonię bojkotowany (teren tu już jest zajęty, tłumaczył proboszcz), postanowiliśmy z okazji przyjazdu tak wybitnej postaci dać wszystkim zainteresowanym Polakom w London okazję, by go mogli zobaczyć i posłuchać. Wynajęliśmy więc w tym celu salę w świeżo za miastem zbudowanym domu rekolekcyjnym OO Michaelitów. I wtedy zaczęły się trudności. Proboszcz polskiej parafii zagroził Michaelitom konsekwencjami w przyszłej współpracy, jeżeli nam udostępnią lokal. Na szczęście, kierownik ośrodka się nie przeląkł. Ponoć jacyś gorliwi parafianie planowali przeciąć drogę dojazdową...



Stefan Kisielewski, fot. alchetron.com

Spotkanie się jednak odbyło. Oprócz członków Klubu, którzy stawili się gremialnie, spoza naszego grona pojawiło się na sali aż dwóch śmiazków. Reszta, niestety, uległa zastraszeniu proboszcza i presji powolnego środowiska.

Po znakomitej prelekcji resztę zimowego wieczoru spędziliśmy wesoło u Haliny i Mieczysława Gramatyków. To tam Kisielewski wśród obecnych rozpoznał pułkownika Czesława Czajkowskiego, swojego ostatniego dowódcę we wrześniu 1939 roku. Od owego momentu, utrwalonego zresztą w powieści „Sprzysiężenie”, Kisiel nic o nim nie słyszał. Radości z tego nieoczekiwanego spotkania było wiele.

Przypominam sobie, jak to kilka lat później bawiąc w Warszawie, w kawiarni poselskiej (mimo że Kisiel już wtedy posłem nie był) napisaliśmy wspólnie kartkę do Kanady do pułk. Czajkowskiego, na której Kisiel meldował się jako podchorąży. Przedstawił mi wtedy także człowieka, którego nazwiska niestety nie zapamiętałem, ogłaszając na całą salę, że miałem ogromne szczęście, jako że ów znajomy zazwyczaj przebywał w więzieniu i rzadko kiedy można go było spotkać na wolnej stopie. Opowiedział mi też historyjkę o Leopoldzie Tyrmandzie, siedzącym już wtedy w Ameryce. Raz przyszedł on do Kisielewskiego i naumyślnie rozlał jakiś płyn w przedpokoju. Bez słowa, ponieważ posadzka była czysta, Kisiel zdjął płaszcz Tyrmanda z wieszaka i wytarł nim podłogę.

Po raz pierwszy odwiedziłem Kisiela w Polsce korzystając z uprzejmości sir George'a Cluttona, ambasadora Wielkiej Brytanii, a mojego byłego ucznia, który mnie pod jego dom podwiózł. Bardzo cenił Kisiela, a ten grywał u niego na przyjęciach dla przyjaciół. Kisielowski przyjął mnie z wielką serdecznością, był w świetnym nastroju, gdyż akurat ukończył pracę nad „Damami i huzarami”.

Kisiel w jednym z listów donosił:

[...] Poza tym działam normalnie, pisuję, komponuję, myślę etc. Pańskiego ucznia z dyplomacji widuję nie rzadko - bardzo jest zabawny. W karnawale urządził nieoficjalne przyjęcie taneczne w swojej rezydencji, można było pękać ze śmiechu, tańczono poloneza (a grałem), śpiewano chórem krakowiaka itp.

Kiedy byłem u niego parę lat później po raz drugi, by wręczyć mu list, nie zastałem go w domu. Był w Gliwicach z odczytem.

W moim domu w Kanadzie naraziłem mu się, gdy mu nasypałem za dużo kawy do filiżanki. „Nie chce mnie pan otruć”? skomentował. A na odjeźdźnym podarował mi kasztan zapewniając, że chroni od reumatyzmu. „Ale ja nie mam reumatyzmu” odpowiedziałem. „A widzi pan - ciągnął niespeszony Kisiel - już działa”.

Kasztan nadal posiadam; reumatyzmu się nie nabawiłem.